

Józef Szajna

Cenię mit Leona Schillera, twórcy teatru narodowego w tamtym dwudziestolecu. Łączę go z Andrzejem Pronaszką i rozumem, na czym ten mit polega, choć żyjemy w epoce obalania mitów. Jednak obchodzi mnie w tamtym dwudziestolecu przede wszystkim Witkacy. Tak się jakoś dziwnie złożyło, że spośród wszystkich twórców tamtego czasu ci dwaj pozostali żywi, a ich spuścizną karmi się plejada realizatorów powojennego teatru.

Leon Schiller miał swoją teorię i swój teatr. Za to go cenię. Nie cenię jego naśladowców, owych coraz liczniejszych rzesz po pół wieku już liczących jego uczniów i uczniów, którzy każdą indolencję twórczą ozdabiają szkołą Schillera. Przeciwwstawić się temu potrafił tylko Dejmek, autentyczny jego wychowanek. Powoływanie się dziś na Schillera czy Pronaszkę to tak, jakby dzisiejszy generał próbował się upozować na pomnik Tadeusza Kościuszki na podwawelskim koniu.

Nie interesuje mnie teatr, interesuje mnie życie, a życie to nowe struktury formalne. Okres teatru ilustracyjnego umarł, żyć może tylko teatr kreacji. Dziś forma stała się treścią, o czym w okresie międzywojennym wiedział tylko Witkacy. Czy można teatrowi przywrócić zbiorowy akt twórczy? Niestety — praca w naszym teatrze zaczyna się od mechanicznej realizacji; braku teorii, zaangażowania nową obserwacją zjawisk nie zastąpimy żadną praktyką.

Kontynuację tradycji rozumiem jako rozwój dokonujący się skokami. Takich skoków dokonywały w historii sztuki tylko indywidualności, które zaprzeczały wszystkim szkołom i modom.

Jest rzeczą aż dziwną, jak żywy, aktualny i nowatorski stał się po wojnie Witkacy. I to w znaczeniu nie tylko polskim. Chyba dlatego, że właśnie u niego treść stała się formą. Przerażony zmianami (narodziny faszyzmu) w świecie współczesnym odsłania bezsens sytuacji człowieka, który nic w tym świecie zmienić nie może, jego dezintegrację — i oskarża o to epokę. Jego czysta forma, dająca nieograniczone możliwości teatrowi, stanowi jedną z ciekawszych, na miarę światową, propozycji nowego teatru. Jest to teatr wyobraźniowy, którego prekursorem był u nas Wyspiański, teatr transformacji poetyckiej, przeciwieństwo teatru fotograficznej dokumentacji, jaki praktykują naturaliści.

Witkacowskie „dzianie się” zjawilo się znacznie wcześniej w Polsce niż happenin-gi w Ameryce. Podejrzewam, że znany Witkacowski katastrofizm, który narodził się z przeczucia faktów (wynik chyba zarówno podświadomości jak obserwacji, zaangażowania w sprawy tego świata), stanowi to samo źródło niepokoju, jakie znajdują artyści dzisiaj, w epoce wzmożonej konsumpcji dóbr cywilizacji, w czasach nieliczenia się wartości duchowych sztuki. Pokonała nas ulica, łatwe i tanie sukcesy, łatwe kariery i hasła.

Wydaje się, że w świetle faktów najtrudniej dziś być artystą. A w ogóle — nie interesuje mnie odpowiadanie na pytania.

Jestem przesycony formularzami, w których na pytania odpowiadam: karany sądownie? — jeszcze nie, posiada rodzinę w kraju? — tak, za granicą? — nie, urodzony? — na pewno. Na tego typu ankiety odpowiedzi mogą być prawdziwe. Wszystkie inne autorytatywne stwierdzenia podważam. Czytając odpowiedzi ankietowanych (nie wykluczając siebie) odczuwam najczęściej wygrywanie osobistych interesów lub brak kompetencji.